Nr. 39. 30 h. — 25 fen.



SZERLOK HOLMES
TYGODNIK KRYMINALNY.



Kraków, dnia 26 lutego 1910

Z treści: **Lady Florence, pies policyjny.**

Wychodzi w każdą sobotę.



W tej samej chwili, gdy się strzał rozległ, skoczył pies policyjny na zbrodniarkę. Obecni spoglądali z przerażeniem na tą scenę.

Nr. 39. Kraków, dnia 26 lutego 1910. Nr. 39.

Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3·60, mk. 3·60, rs. 2·—.

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.

Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

Cena numeru pojedynczego 30 hal., 25 fen., 15 kop.

Wychodzi w każdą sobotę.

LADY FLORENCE, PIES POLICYJNY.

ROZDZIAŁ I.

Zgroza Czerwonej Ręki.

Prokurator państwa Robert Atelston rozparł się wygodnie na amerykańskim bujaku, puścił w powietrze kilka niebieskich pierścieni dymu i rzekł, zwracając się do radcy miejskiego Artura Bruce:

— Nie! Nie mogę podzielać pańskich entuzyastycznych pochwał. Psy policyjne mogą w niektórych wypadkach zdziałać dużo dobrego. Mamy jednak często tak trudne sprawy, przy których umysł musi silnie pracować. Jeśli potrzeba koniecznie rozwiązać zawiłą zagadkę, wtedy pies policyjny, nawet najlepszy, odmówi posłuszeństwa.

Radca miejski wzruszył ramionami:

— Nie chcę w tej sprawie wydawać zdecydowanego sądu. Ale sądzę, że podobnie, jak mamy ludzi z rozmaitymi darami i talentami, zdarza się coś podobnego i z psami.

Prokurator się roześmiał:

— Chciałbyś pan znaleźć między psami także pewnego rodzaju Szerloka Holmesa. Nie, nie! Ja twierdzę, że jeśli dla logicznego zmysłu bystrego człowieka niemożliwą jest rzeczą zgłębić nieraz tajemnicę, to dla psa tem bardziej.

— Przeciwnie! — twierdził z ożywieniem radca Bruce. — Twierdzę, że węch dobrego psa policyjnego dopiero wtedy zacznie pracować, gdy człowiek zupełnie zagubił wszelkie ślady.

— No! — bronił się prokurator. — Szkoda, że o to założyć się nie możemy. Postawiłbym sumę.

— Może przyjdzie jeszcze kiedy do tego — obstawał przy swojem radca.

— Pomyśl pan naprzykład o tajemnicy Czerwonej Ręki, przypuszczam, że wszyscy obecni słyszeli już o strasznych czynach Czerwonej Ręki.

Był to wieczór towarzyski w przepysznym gmachu para Cornwalii. Elektryczne gruszki rozsiewały dokoła oślepiające blaski. Goście swobodnie ugrupowani siedzieli około rozmawiających, prowadzących ożywioną dyskusyę o wartości psów policyjnych. Wszyscy poświadczyli ostatnie słowa prokuratora.

— Nawet w ostatnim miesiącu — mówił on dalej — ta straszliwa Czerwona Ręka dokonała dwu morderstw i pięciu włamań. Policya okazała się tu zupełnie bezsilną. Zgroza, jaką szerzy Czerwona Ręka, jest tak wielka, że nikt prawie nie waży się ukazać w nocy na ulicy. Któż jest jednak tą Czerwoną ręką? Nie wiemy tego. Jest to więc zagadką, wobec której jesteśmy bezradni. Pan sam o tem wie, mr. Bruce. Czy pan sądzi, że pies policyjny może rozwiązać taką zagadkę?

Radca wzruszył ramionami i milczał.

Dał się słyszeć głos młodej, pięknej lady Gigi Chatterton, bardzo bogatej wdowy:

— Przestrasza mnie pan. Słyszałam już wprawdzie o Czerwonej Ręce, ale nigdy nie sądziłam, że jest tak okropną. Zamieszkuję odosobnioną willę przed miastem. Będę teraz zawsze w śmiertelnym strachu.

Prokurator skłonił jej się uprzejmie i rzekł:

— Jesteś pani piękną kobietą. A na piękność nikt się nie waży użyć siły.

— Pan żartuje, panie Athelston — odrzekła.— Ale czy to prawda, że Czerwona Ręka jest tak straszna?

— Tak! — zapewniał zapytany. — Czerwona Ręka jest niewidzialnym duchem, może jest nawet między nami, a my go nie widzimy...

— Ratunku, ratunku!

Do sali wpadł służący ze śmiertelnie bladą twarzą; gestykulował, dyszał ciężko i jąkał przytem:

— Ratunku — on jest — zabity — zamordowany — tam — obok!...

Wypadek ten wywołał nieopisane zamieszanie; wszyscy zerwali się z miejsc z przerażonym wzrokiem i strasznymi okrzykami. Niektórzy cisnęli się do drzwi, jakby chcąc uciec przez niewidomą zgrozą i przerażeniem, inni obrzucali pytaniami ledwo dyszącego sługę.

Artur Bruce, pozostał najspokojniejszym; poznał, że stało się coś strasznego, niesłychanego, ale wiedział też, że potrzebna tu spokojna przedewszystkiem rozwaga. Wyprostował się i zawołał donośnym, rozkazującym głosem:

— Proszę o spokój oraz proszę obecnych, by nie opuszczali salonu. Wraz z mr. Athelstonem postaramy się o rychłe wyjaśnienie.

Jego spokój i pewność siebie sprawiła, że zamieszanie znacznie się uspokoiło. Goście skupili się, jakby sądząc, że tym sposobem uchronią się przed nieznanem niebezpieczeństwem.

— Kogo zamordowano? — Pytano dokoła. Nikt nie ważył się mówić głośno, jakby śmierć między nimi gościła.

Artur Bruce podszedł do służącego i zapytał:

— Co się właściwie stało?

Twarz służącego była popielata; w oczach zgroza a wargi drżały:

— Czerwona Ręka.

Na te słowa szepty się wzmogły; przed minutą dopiero mówiono o tem samem.

— Proszę mnie zaprowadzić! — zażądał Bruce.

Służący wstrząsnął głową z przerażeniem.

— Nie mogę! To tam obok!

— Dobrze! Mr. Athelston, zechce mi pan towarzyszyć?

Obaj poszli do wskazanago im pokoju. Tylko jedne drzwi oddzielały prywatny pokój para od jasno oświetlonego salonu, w którym przed chwilą goście tak ochoczo rozmawiali.

Widok jednak, jaki im się przedstawił, nawet Artura Bruce przestraszył tak, iż się krok cofnął.

Na środku pokoju pływał we własnej krwi zmarły. Twarzą na ciemnym, zielonym dywanie leżał z wyciągniętemi ramionami, na plecach poniżej kręgu karkowego widniała rana pchnięta, z której krew jeszcze tryskała.

Ofiara musiała otrzymać ranę jakimś nożem w kształcie sztyletu. Cios wymierzony był z taką siłą i pewnością, że pchnięty bez jęku nawet runął bez zmysłów.

W milczeniu patrzyli obaj, zamknąwszy za sobą drzwi, na okropny ten obraz.

Czerwona Ręka! Powiedział służący. Ale czemu?

Oczy radcy błądziły dookoła szukając, wtem zrozumiał odpowiedź. Na stole, przypięty szpilką, leżał list z narysowaną na nim piórkiem, małą czerwoną ręką. Wyglądało to, jakby bilet ten pozostawiono tu umyślnie.

Athelston rzekł szeptem:

— Czerwona Ręka tu była.

Bruce skinął potakująco; nie było czasu do tracenia. Zaczął natychmiast poszukiwania. Z bystrością doświadczonego kryminalisty, ponieważ jako radca miejski był kierownikiem policyi w Norwich, zestawiał swe spostrzeżenia i dzielił się niemi z towarzyszem.

Morderca musiał przyjść tamtemi drzwiami. Inaczej być nie mogło, ponieważ musiałby przechodzić przez pokój, w którym my byliśmy. Są jednak też tu drugie drzwi, prowadzące na korytarz. Tą drogą mógł uciec.

Athelston skinął.

— Ale narzędzie zbrodni zabrał ze sobą?

— Tak! — I po gruntownych badaniach, przy których najmniejsza plama na podłodze nie uszła jego uwagi, oświadczył prokurator:

— Morderca nie pozostawił najmniejszych śladów. Morderstwo popełniono znowu z tą straszną pewnością, jaką się wszystkie zbrodnie Czerwonej Ręki odznaczały. Zdaje się, jakby morderca powietrzem uszedł. Żadnych śladów stóp. Żadnego nieporządku. To straszne. Krew jeszcze gorąca. Morderstwo popełniono w chwili, gdyśmy tam rozmawiali.

— Zmarły jest panem domu. Podczas, gdyśmy tam omawiali okrucieństwa Czerwonej Ręki, on sam padł jej ofiarą — dodał Athelston.

— Tak jest! Pytam jednak daremnie, dlaczego czyn ten popełniono. Wszędzie wzorowy porządek. Nic nie zrabowano, ponieważ szuflady w biurku są zamknięte, również w innych szafach. Na biurku papiery leżą tak, jak je zmarły musiał pozostawić.

— To tajemnica, zagadka, której może nigdy

nie rozwiążemy; to już trzecie morderstwo Czerwonej Ręki, a my musimy bezsilnie się tylko przypatrywać. Cóż teraz poczniemy? — biadał Robert Athelston.

— Nie widzę żadnego ratunku. Jedna jest tylko możliwość zwyciężenia Czerwonej Ręki!

— Jedna? Jaka? — zapytał prokurator z wielkiem zainteresowaniem.

— Musimy ten pokój zamknąć, by nikt wejść do niego nie mógł. Zmarłego już nie uratujemy, ale zatelegrafujemy do Londynu, by przyjechała Lady Florence — odpowiedział radca.

— Lady Florence? — Prokurator potrząsnął głową. — Któż to jest? Dlaczego nie Szerlok Holmes?

— Czy pan nic o niej nie słyszał? Co się tyczy zresztą wielkiego detektywa, to wyjechał, ale jego uczeń Harry Takson i Lady Florence najzupełniej nam wystarczą.

— Ależ ja nie znam tej lady.

— No, więc ją pan pozna. Sądzę, że już jutro wieczór przybycia ich możemy się spodziewać, jeśli dziś jeszcze wyślę depeszę.

ROZDZIAŁ II.

Lady Florence.

Radca Artur Bruce postarał się, by wszystko przygotowano do przybycia tych państwa.

Zamknąwszy drzwi, powrócili obaj panowie do towarzystwa i zdali sprawę z nowej zbrodni popełnionej przez Czerwoną Rękę.

Z łatwo zrozumiałem przerażeniem słuchali goście opowiadania, najwięcej jednak wzruszoną była Olga Chatterton, za którą zamordowany par przepadał.

Mówiono nawet powszechnie o tem, że piękną tę kobietę uchodzącą za najbardziej elegancką i najbogatszą w całem Norwich, chciał pojąć za małżonkę.

Par Cornwalii był wdowcem, posiadał znaczny majątek i grał pierwszą rolę w mieście. Dzieci nie miał żadnych. Lubił towarzystwo. Dlatego też co tydzień urządzał przyjęcie, bardzo ożywione i lubiane, ponieważ par przy takich okolicznościach nie oszczędzał. Między stałymi jego gośćmi był zawsze Artur Bruce, radca miasta Norwich i prokurator Robert Athelston. Również piękna Olga Chatterton, która przed miastem nad brzegiem rzeki Yare zamieszkiwała willę i dopiero przed pięciu laty ukazała się w Norwich, ale już pięknością swoją i bogactwem zdobyła sobie prym, zwykle tam występowała. Mówiono nawet, że tylko dla niej urządzał par te przyjęcia.

W każdym razie nikt nie wiedział niczego pewnego, a Olga Chatterton nie była dla niego nigdy przychylniejszą niż dla innych panów.

Ponieważ jednak par do najwierniejszych jej wielbicieli należał, wzruszenie jej było zupełnie zrozumiałe.

Ustawicznie zapytywała to prokuratora, to radcę o to samo.

— Czyż on rzeczywiście umarł? Nie mogę się z tą myślą pogodzić.

A gdy jej to stanowczo potwierdzano, pytała:

— Ale przynajmniej jakiś ślad mordercy możeście panowie odkryli?

— Była to Czerwona Ręka. Więcej nic sami nie wiemy.

— Ale któż jest ta Czerwona Ręka? Co on jej zrobił? Jak mógł tajemniczy zbrodniarz wcisnąć się tak blizko nas i znowu zniknąć? Dlaczegóż właśnie par, który nie miał żadnych wrogów, musiał umrzeć w tak straszny sposób? Musicie mi panowie na to odpowiedzieć.

— My sami jesteśmy bezbronni wobec tej niesłychanej zbrodni — przyznał Athelston.

— Boję się. Nie odważę się wracać sama do mej willi.

Athelston ofiarował pięknej damie swoje towarzystwo, wdzięcznie przez nią przyjęte.

Za pół godziny cisza i ciemność zalegały wspaniałą willę, którem właściciel spoczywał w swym gabinecie snem wiecznym.

Przedpołudnie następnego dnia użył Artur Bruce na wyśledzenie powodów morderstwa. Rezultatem dzielił się z prokuratorem, gdy wieczorem szli na dworzec, na przyjęcie Lady Florence.

— Jak mi bank Dunbar donosi, tego samego dnia przed południem, podniósł paar 10.000 funtów. Oświadczył przytem mr. Dunbarowi, że musi większe zakupy porobić za gotówkę. Obawiam się, że Czerwona Ręka musiała się o tem dowiedzieć i suma ta stała się motywem zbrodni.

Prokurator uważnie się przysłuchiwał; teraz zapytał z wielkiem zainteresowaniem:

— Nie dowiedział się pan, czy par z pieniędzy tych już co wypłacał?

— Nie! Sekretarz prywatny nic wogóle o tej sumie nie wiedział, oświadczył mi to sam.

Prokurator stanął na środku ulicy; chwycił Brucego za guzik zarzutki i rzekł:

— W takim razie wypadek ten uczyni Czerwoną Rękę nieszkodliwą, o ile okaże się rzeczywiście, że sumę tę przy morderstwie skradziono. Potrzebujemy tylko odpowiedzi na pytanie. W jaki sposób Czerwona Ręka dowiedziała się o podjęciu tak znacznej sumy?

— O tem już pomyślałem i w tym kierunku przeprowadziłem śledztwo, ale daremnie. Mówiłem z dyrektorem banku mr. Dunbarem. Par przyszedł do jego prywatnego kantoru, zażądał 10.000 funtów, ale wyraził życzenie, by sprawa ta traktowaną była dyskretnie. To też mr. Dunbar uczynił i zapewnia, że w całym jego banku on sam tylko wie, że podniesione 10.000 dla para przeznaczone były. Kwit za nie przechował w prywatnej kasie. Czyż może pan teraz spodziewać się jakiego rozwiązania?

-- Prokurator milczał przez chwilę. Następnie mówił:

— Ale w jaki sposób Czerwona Ręka dowiedziała się o tem? Jeśli te 10.000 rzeczywiście znikły, w takim razie morderca musiał wiedzieć dokładnie, gdzie one były przechowane, bo przecież w pokoju zamordowanego nie było najmniejszego nieporządku.

— Wszystko to uznaję. Ale pomimo to nie postępujemy naprzód.

Jeśli prócz dyrektora, nikt o tem nie wiedział, wtedy on sam musi stać w porozumieniu z Czerwoną Ręką. Dotychczas zawsze się okazywało, że Czerwona Ręka jak najdokładniej poinformowaną była o finansowych stosunkach swych ofiar.

— Prawda! — potwierdził Artur Bruce.

— Ale czyż bankier Dunbar nie był wczoraj między zaproszonymi gośćmi para?

— Tak!

— Ale obecnym nie był. Czyżby on?

Radca nie dokończył podejrzenia, powstałego nagle w jego myśli; prokurator zrozumiał go jednak.

— Bankier Dunbar! Chcesz pan przez to zaznaczyć, że on może jest tą straszną Czerwoną Ręką?

— Nic nie twierdzę — bronił się radca. — W każdym razie zaproszonym był, a nie przyszedł

— W tym wypadku nie mogę temu wierzyć, bo nicby go nie zobowiązywało do wyjawiania tajemnicy tych 10.000 funtów. Myślę jednak o prywatnym sekretarzu zamordowanego. Czy ten naprawdę o tej sumie nie wiedział? Raczejbym przypuszczał, że on jest Czerwoną Ręką.

— Sądzę, że podobne przypuszczenia do niczego nas nie doprowadzą. Musimy przedewszystkiem spuścić się na Lady Florence.

— Ale powiedz mi pan przynajmniej, kto ona jest?

— Cierpliwości! — uspokajał Artur Bruce.

Tymczasem przybyli na dworzec, nie długo też czekali na przybycie pociągu. Tłum ludzi popłynął ku wyjściu. Nagle radca powitał jakiegoś młodego pana i nim Athelston mu się przyjrzał, przedstawił:

— Mr. Takson z Londynu i Lady Florence, jego towarzyszka.

Prokurator szukał damy.

Nigdzie jej nie postrzegł. Młody detektyw prowadził tylko na krótkim rzemieniu psa.

Nim Athelston zdążył postawić pytanie, wyjaśnił Takson:

— Lady Florence, najlepszy pies policyjny, zastępca Szerloka Holmesa.

Prokurator zrobił zawiedzioną minę. Nie mógł naprawdę uwierzyć, by ten skurczony, chudy pies, towarzyszący młodemu człowiekowi, miał rozwiązać zagadkę Czerwonej Ręki.

Takson oświadczył zaraz:

— Otrzymałem depeszę, że chodzi o nadzwyczaj ważną sprawę. Możemy zacząć pracę natychmiast. Zechcą nas panowie zaprowadzić na miejsce zbrodni!

Wszystkim się to podobało.

Jadąc do willi para, objaśniał radca młodemu człowiekowi szczegóły morderstwa. Skoro zamilkł, wyraził Harry Takson swe zdanie:

— Mój mistrz i ja, słyszeliśmy już w Londynie o Czerwonej Ręce, szerzącej tu taki postrach. Mojem zdaniem, jest to towarzystwo zbrodniarzy z nadzwyczaj inteligentnym przywódcą na czele. Lady Florence niewątpliwie wynajdzie ich norę.

Prokurator nie mógł stłumić powątpiewania:

— Naszej policyi jeszcze się to nie udało.

— Nikt też z niej nie ma nosa Lady.

Artur Bruce potwierdził:

— Podobnie i ja myślę. Nos Lady Florence głównego dokona tu czynu.

Harry uśmiechnął się:

— Ona umie używać też zębów i nóg.

— Czy odkryje nam też i herszta tej bandy?

— Zobaczycie.

Noc już zapadła, gdy przybyli do willi. Było już dosyć ciemno.

Jeden sługa przyjął późnych gości i towarzyszył im do zamkniętego pokoju.

Czem więcej zbliżano się do miejsca zbrodni, tem więcej zmieniało się zachowanie lady Florence; wyciągnęła się, jak to czynią psy po śnie. Zdawało się, jakoby pies czuł, że czeka go robota. Podniósł łeb i węszył.

Uczeń Szerloka Holmesa zapytał:

— Czy morderca pozostawił za sobą jaki ślad?

— Nie!

— Żadnej plamki? Żadnej broni? Nic, coby mogło należeć do zbrodniarza?

— Nie! Wygląda na to, jakby się w powietrze ulotnił.

Athelston wyraził powątpiewanie.

— W takim razie i pies niczego nie znajdzie.

Harry nic nie odpowiedział, zażądał tylko:

— Proszę nas wprowadzić drzwiami, których zbrodniarz musiał użyć, wchodząc do pokoju.

Drzwi otwarto.

Harry wskazał na podłogę, pogłaskał psa po grzbiecie i rzekł:

— Szukaj! Szukaj! Lady!

Żądanie to zrozumiał pies natychmiast. Obwąchał podłogę dokoła; nagle zdawało się, że pochwycił wiatr. Przez sekundę stał pies bez ruchu, jak z bronzu odlany. Potem szarpnął się na lince, ciągnąc do pokoju, z nosem ciągle przy ziemi. Służący odkręcił elektryczne światła.

Pies doprowadził swego pana aż tu do umarłego, poczem pod ostrym kątem zwrócił się nagle do biurka.

Harry Takson objaśnił.

— Morderca doszedł dotąd i prawdopodobnie pchnął tu ofiarę zwróconą do niego tyłem.

Lady Florence przedniemi łapami skoczyła na biurko, potem zaraz wlazła pod biurko, rzuciła się na kosz z papierami, wyciągnęła z niego próżną kopertę, obwąchała ją i parła ku drzwiom, któremi weszli.

Młody detektyw wstrzymał psa i podniósł kopertę. Była z silnego papieru z napisem.

„Dom bankowy Dunbar“.

Harry tłómaczył.

— Morderca bez szukania wziął kopertę z biurka, wypróżnił i rzucił do kosza. Wyrażone przypuszczenie jest przeto prawdziwe. Morderstwo popełniono dla tych podjętych 10.000 funtów.

Harry wsadził nos psa do próżnej koperty i rozkazał:

Szukaj, Lady, szukaj!

Pies parł ciągle na dwór, z nosem zawsze przy ziemi, przeprowadził przez schody służących, wychodzące na ogród i powiódł przez ogród.

Z tyłu willi leżała łąka. Nizko okalający mur usiłował przeskoczyć, w czem mu krótki rzemień przeszkodził.

— Morderca przebył ten mur, musimy my zrobić to samo, Harry Takson puścił psa, ten przesadził mur, panowie również i ujrzeli psa pędzącego przez łąkę. Na krótki gwizd pana pies stanął i dał się wziąć na rzemień.

Ścigano dalej.

Nagle pies stanął i głośno, a krótko szczeknął. Nie dał się ruszyć z miejsca.

Harry Takson objaśnił:

— Musiał coś znaleźć. Jest tak ciemno, że na ziemi nie można niczego dojrzeć. Może który z panów poświeci zapałką.

Artur Bruce natychmiast zadość uczynił życzeniu. Przy świetle zapałki błysnął jakiś przedmiot; był to ostro szlifowany sztylet z cienką klingą. Na błyszczącej stali widać było lepkie, do rdzy podobne plamy.

— To broń mordercy. Albo ją tenże porzucił umyślnie, albo też zgubił. W każdym razie już nam nie ujdzie.

Uczeń Szerloka Holmesa podstawił psu rękojeść sztyletu pod nos:

— Szukaj, Lady, szukaj pana!

Pies parł zawsze naprzód.

— Musimy postarać się teraz o kilku policyantów. Jestem przekonany, że pies zaprowadzi nas do jaskini lwa, to jest do kryjówki Czerwonej Ręki. Możliwe, że jeszcze tej nocy przyaresztujemy mordercę.

— Ależ pies nie posłuży za świadka — wątpił Athelston.

— Posłuży! Bądź pan pewny! — zapewniał Harry.

Pies zaś, jakby zrozumiał wątpliwości, ciągnął dalej śladem.

ROZDZIAŁ III.

Na tropie.

„Czerwona Żaba“, była to piwniczna knajpa, leżąca poza obrębem murów miasta, na końcu nowo założonej ulicy, obstawionej wysokiemi domami, w których nędza znajdowała przytułek. Pod „Czerwoną Żabą“ panował wielki rygor, a gospodarz specyalnie dobrze był zapisany w policyi, gdyż nie było ani jednego w mieście, któryby tak dokładnie spełniał przepisy policyjne. Z uderzeniem dwunastej, wszyscy goście musieli opuścić lokal, a w dziesięć minut potem spuszczano żelazne żaluzye na drzwi i okna.

Wtedy „Czerwona Żaba“ była w głębokiem pogrążona śnie; wszelkie życie pozornie ustawało.

Ale tylko na zewnątrz.

Tem ciszej i bardziej tajemniczo zaczynało się ono w tylnych izbach od podwórza. Dziwni zgromadzali się tam goście. Prawie co noc przychodzili stali goście sami tylko znający drugie drzwi, tajemny dostęp do „Czerwonej Żaby“.

Rozmowy prowadzono tam tylko szeptem.

I tej nocy przyszło znajome towarzystwo. Gospodarz usługujący im zawsze sam, znał wszystkich po imieniu.

Powitał ostatniego przybysza.

— Też już tu, Byku? Dobrze wszystko poszło?

— Mówię wam, mistrz ma dobry nos. Wszystko co do słowa było tak, jak powiedział — odrzekł Byk.

Inni, pięciu drabów, otoczyli go:

— Opowiadaj, masz może i łup?

— Naturalnie! Ale dajcie mi się przedewszystkiem napić. W gardle aż mnie pali. Muszę najpierw ugasić pragnienie.

Podczas gdy Byk jedną szklankę za drugą wysuszał, nadszedł również i jego towarzysz; ten był mały i chudy, ale nadzwyczaj nerwowy.

Pierwsze jego słowa były:

— No, Byku, masz łup?

— Rozumie się. Mówię wam, nasz mistrz, to czysty dyabeł. No, bez czerwonego sosu się nie obeszło. Ale byłem już na to przygotowany.

Opowiadał dalej, usiadłszy przy stole, podczas gdy inni otoczyli go kołem.

— Wbiegłem na schody. Nie było słychać, ponieważ włożyłem dane mi przez mistrza, gumowe buty. Drzwi były niezamknięte. Gdy chcę się wślizgnąć, patrzę, stoi ktoś na środku pokoju. Na szczęście obrócony był do mnie plecami. Naturalnie nie namyślałem się długo. Wiele już cieląt zadźgałem i wiem gdzie trafić. Trafiłem dobrze. Gdzie ja uderzę, tam nie porośnie już trawa. Chłop kropnął o ziemię jak wór z piaskiem. Ja szybko wyciągnąłem naszą wizytówkę, poszedłem do biurka, znalazłem na niem opisaną mi kopertę. Wypróżniłem zawartość, kopertę do kosza, a sam w nogi. Bajkowo wszystko poszło, tylko umykając zgubiłem mój nóż.

Podczas tego opowiadania nie zapominał Byk i o dzbanie.

Ostatnio przybyły, chudy, nazywany zwykle „Garbarzem“, roześmiał się na to i szydził:

— Nasz mistrz robi naturalnie na tem najlepsze interesa. Wszyscy musimy mu pomagać, sam nic nie robi. Ale bierze największy zysk. Ileś zdobył?

— Dziesięć tysięcy funtów.

— Niewiele z tego zobaczymy — szydził Garbarz dalej.

— Taka była umowa. Cobyśmy poczęli z banknotami. Nicbyśmy nie mieli, gdyby mistrz o nas nie pamiętał. Troszczy się o nas, płaci nam, choć niema roboty, lub jeśli kiepskie interesa — bronił Byk.

— Ale jak długo będzie to robił? O to trzeba się pytać! Nikt z nas nie wie, kto on i gdzie go znajdziemy, gdybyśmy go chcieli dostać. Jeźli już dosyć uciuła, co według takich jak wczoraj interesów wkrótce nastąpi, wtedy daremnie czekać na niego będziecie pod „Czerwoną Żabą“.

— Mistrz dotychczas słowa dotrzymywał.

— Dotychczas! Tak! Ale gdy nas nie będzie potrzebował, możemy szukać wiatru w polu. My wyłącznie zależymy od niego. On nie! Może się zawsze od nas uwolnić. Czy widział kto z was kiedy jego twarz?

— Nie!

— Ma Garbarz racyę!

Z różnych stron dorzucano zdania.

— A to nieuczciwie!—zapalał się Garbarz. — Może nas oszukać. Nie znajdziemy go nigdzie. Dlatego obstaję przy tem, że raz wreszcie musimy zobaczyć prawdziwą jego twarz.

— Czy chcesz tego koniecznie, Garbarzu?

Obcy głos jakiś zapytał. Wśród gwaru nikt nie zauważył, że drzwi prawie bez szmeru się otworzyły. Na progu ukazała się zgrabna, wysmu-

kła postać zamaskowanego, którego twarz zupełnie była okryta sukienną maską.

Był to oczekiwany mistrz, przywódca Czerwonej Ręki.

Wszystkich oczy zwróciły się na niego.

Jak psy przed batem pana, tak draby te trwożnie wstecz się cofnęły.

— Słyszałem wszystko. Więc chcesz spojrzeć pod moją maskę?

Głos mistrza brzmiał miękko, cienko, prawie młodzieńczo; cokolwiek ochryple, jakby zmieniony umyślnie.

Garbarz skulił się:

— Tak powiedziałem. Lecz sądzę, że mam prawo do tego.

Przynosimy ci dziś 10.000 funtów.

Mistrz zwrócił się do Byka:

— Masz papiery?

— Tak! Oto są.

I podał mistrzowi Czerwonej Ręki dosyć poważny pakiet banknotów. Mistrz wyciągnął po papiery drobną białą, nieprzywykłą widać do pracy rękę i nie licząc schował banknoty do kieszeni. Przytem spytał:

— Czy ty chcesz widzieć moją twarz?

— Nie, mistrzu! Pójdę z tobą na dolę i niedolę. Zawsze ci wierzyłem.

Garbarz mówił tymczasem:

— Nie wszyscy jednak tak myślą!

— Powiedziałem wam zaraz pierwszego dnia! Kto zobaczy moją twarz pod czarną maską, ten umrze. Przysięgliście mi.

— Tak źle, myślę. nie będzie. Wyliczyłem, że dotychczas uzbierałeś z pół miliona funtów. Będziemy przeto bliżej ci się przypatrywać.

Oczy za maską sypnęły iskrami. Mistrz stał bez ruchu tak, że miał naprzeciwko siebie tylko Garbarza.

— Możesz zrobić początek.

Wielu przytakiwało; podburzenie Garbarza odniosło swój skutek.

Ten podszedł tuż do mistrza; przez chwilę zdawało się, że ręka waha się sięgnąć po czarne sukno:

Wreszcie mruknął:

— Głupstwo, nie trzeba być śmiesznym.

Ręka podniosła maskę.

Mistrz twarz swoją tak obrócił w bok, że tylko sam Garbarz mógł widzieć.

Ten roześmiał się i zawołał:

— Ależ to jest — —

Więcej powiedzieć nie zdołał.

Huknął strzał.

Garbarz łapał rękami powietrze, zatoczył się jak pijany i chrapiąc runął na ziemię.

Ręka mistrza trzymała jeszcze dymiący rewolwer.

— Ostrzegałem. Kto moją twarz pozna, ten musi umrzeć. Czy chce kto jeszcze spojrzeć pod czarną maskę?

Wszyscy z trwogą odstąpili.

Tak umiał herszt zbrodniarzy ludzi swych zmuszać do ślepego mu posłuszeństwa.

Ani jedno słowo buntu nie wybiegło z niczyich ust.

— Nigdy tych nie opuszczę — mówił dalej mistrz — którzy mi są wierni. Dlatego tu przyszedłem. Przybył dzisiaj najsławniejszy pies policyjny, Lady Florence, i uczeń Szerloka Holmesa. Radzę wam końmi lub koleją miasto to opuścić. Przedtem nic dla was zrobić nie mogę. Po ośmiu dniach spotkamy się znowu. Wypłacę wam natychmiast.

Czarna maska zbliżyła się do stołu i wysypała na niego garść złota, wszyscy cisnęli się naprzód.

Przedtem jeszcze zwrócił się mistrz do gospodarza „Czerwonej Żaby“.

— Ty postaraj się, by ciało stąd znikło. Ja....

Mistrz nie dokończył zdania, jakiś nadzwyczajny hałas i głosy zwróciły jego uwagę.

— Cicho! — rozkazał.

Wszyscy stłumili oddechy.

Tem wyraźniej dało się słyszeć pukanie do żelaznych rolet; coraz silniejsze stukanie, a potem głuche głosy:

— Otwórzcie! W imieniu prawa!

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy stali jak skamieniali, nie oddychając nawet.

Mistrz obejrzał się jakby czegoś szukając.

Coraz głośniej brzmiało wezwanie: — Otwórzcie! Wyłamiemy drzwi. Cały dom jest otoczony.

Ta sama cisza.

Potem krótkie szczekanie psa.

Mistrz Czerwonej Ręki syknął:

— Pies policyjny. Dziś go jeszcze naszemi śladami puścili.

— Co mamy robić? — spytali wszyscy naraz.

Dały się już słyszeć groźne walenia w drzwi.

— Brońcie się.

Potem mistrz chwycił lampę i rzucił ją o ziemię. Nim jeszcze zgasł ostatni płomień, widać było

że depcze lampę nogami, jak gdyby całą wściekłość chciał na niej wywrzeć.

Teraz zapanowała głęboka ciemność.

Słychać było dziki wrzask, a potem łoskot wyłamanych drzwi.

Byk zawołał:

— Bez walki się nie poddamy!

Pierwsze postacie już weszły; ciemność się rozjaśniła, ale tylko, że można było poznać cienie wchodzących postaci.

Harry Takson z Lady Florence byli pierwsi.

— Światło! — zróbcie światło! — zawołał.

W następnej chwili rzuciła się na niego olbrzymia postać Byka. Ciężka dłoń, mogąca zdruzgotać czaszkę ludzką, uzbrojona były w błyszczący nóż.

Groźnie zawisła klinga nad głową Harrego; nie mógł się już uchronić przed zgubnym tym ciosem.

Zdawał się być zgubionym, gdy wtem pies, wolny od smyczy, poznał niebezpieczeństwo, grożące jego panu. Skoczył na Byka i wpił zęby w przegub ręki.

Skutkiem tego skoka, złoczyńca stracił równowagę; runął wstecz na podłogę. Pies skoczył mu na piersi nie puszczając z pyska ręki uzbrojonej w nóż.

Tymczasem nadeszli inni policyanci, odebrali mu nóż i skrępowali.

Wniesiono światło; wszystkich innych skrępowano jak baranów, słabo się bowiem bronili.

Przy świetle spostrzeżono trupa Garbarza.

— Trup? Zastrzelono go. Nasi ludzie nie dali ani jednego strzału — rzekł młody detektyw. — Co się stało? — Jeden z więźniów odpowiedział:

— To mistrz uczynił, ponieważ Garbarz spojrzał za maskę jego.

— Mistrz! Kto jest mistrzem?

Wszyscy się obejrzeli.

— Niema! Musiał uciec!

— Ach! Tam! – zawołał młody detektyw. — Sam nam zdradził drogę ucieczki. Nogami podeptał światło lampy. Buty jego musiały silnie przesiąknąć odorem nafty. Ślady te łatwo odnajdzie Lady Florence.

ROZDZIAŁ IV.

Zmylony pościg.

Ujęci zbrodniarze pod „Czerwoną Żabą“ pozostali pod strażą policyantów.

Przedtem jeszcze Harry Takson urządził krótkie przesłuchanie.

Artur Bruce zapytał:

– Czy mamy dziś jeszcze iść śladem? Ja sądzę, że ostry zapach nafty tak go wyraźnym czyni, że pies i jutro łatwo za nim podąży. Odbył pan daleką podróż, ma przeto prawo do odpoczynku.

Ale uczeń Szerloka Holmesa zaprzeczył:

— Nie! Ja i Lady Florence nigdy nie odczuwamy znużenia będąc na polowaniu, choćby na ludzi. Chciałbym tej jeszcze nocy zwierza osaczyć. Sądzę, że wystarczy, jeśli pan i może mr. Athelston mi towarzyszyć będą.

Inni policyanci mogą zbrodniarzy przeprowadzić do więzienia śledczego.

Wolę londyńskiego kryminalisty spełniono; tylko ci trzej poszli za śladami człowieka w masce.

Plamy naftowe prowadziły do wielkiego zegaru obok bufetu; tam były tajne drzwi, o których prawdopodobnie towarzysze Czerwonej Ręki nic nie wiedzieli, gdyż z pewnością byliby tamtędy uciekli. Za temi drzwiami ciągnął się wązki korytarzyk, cuchnący wilgocią i zgnilizną.

Pies, którego pan wziął znowu na smycz, parł w ten korytarz.

Poszli gęsiego. Nareszcie ciemny ten korytarzyk tak się stał nizkim, że wszyscy zgiąć się musieli.

Harry oświecał drogę lampką elektryczną.

Schody prowadziły do góry i gdy trzej nasi znajomi po nich weszli, znaleźli się w gęstych krzakach nad brzegiem Yare.

Aż dotychczas ucieczka mistrza Czerwonej Ręki udała się.

Radca, podczas gdy zbliżono się do wału miasta, rzekł:

— Wszystkie trudy herszta Czerwonej Ręki okażą się daremne. Jeśli węch psa z taką pewnością poprowadził nas przez nieznaną dotąd kryjówkę, to Lady Florence z wszelką pewnością odnajdzie dalsze ślady butów przesiąkniętych naftą.

Nawet prokurator, tak z początku niedowierzający, był zupełnie przekonany:

— Sam teraz w to wierzę. Odwołuję wszystko, com mówił przeciw psom policyjnym. Wspania-

łego czynu dokonała Lady Florence. Szczęśliwy był pański pomysł depeszowania do Londynu.

– Dobrze było, żeśmy rady mr. Taksona usłuchali i zabrali z sobą policyantów. Inaczej bylibyśmy bezsilni.

— Teraz ci ludzie już nieszkodliwi — odparł Athelston.

Artur Bruce dodał:

— Może i o mistrzu wkrótce to samo powiedzieć będziemy mogli.

Prokurator oświadczył:

— A naturalnie! Takie zapewne i pańskie zdanie mr. Takson?

— Nie wiem. Mnie jest to coś podejrzanem. Uważam tego herszta Czerwonej Ręki, tę głowę węża, za daleko niebezpieczniejszego, niż panowie sądzicie.

— Pies przecież nie może zgubić tego śladu.

— Właśnie dlatego! — twierdził Harry.

— To dla mnie zupełnie niezrozumiałe—przyznał prokurator.

Pies tymczasem przebiegł wał i wszedł na pierwszą pogrążoną w śnie ulicę miasta.

Urzędnicy musieli wprost biedz, by nadążyć rwącemu naprzód psu.

Uczeń wielkiego detektywa mówił tymczasem dalej:

— Słyszeliście przecież i widzieliście panowie wszystko. Wiemy, że zwany Bykiem, jest mordercą para. Zeznali to inni, gdym oświadczył, że mistrz ich opuścił. Odpowiedzialność atoli ponosi czarna maska. Sami słyszeliście, z jaką energią i stanowczością występuje, jeśli w obecności innych odważył się zastrzelić człowieka. Według wszystkiego co wiemy, jest to najniebezpieczniejszy przeciwnik, człowiek z zimnem wyrachowaniem, bezwzględną stanowczością i szaloną odwagą. O tem nie możemy zapominać: Czerwona Ręka, jeśli tak chcemy nazwać mistrza, wiedział, że pies policyjny nas na jego ślad naprowadzi.

Prokurator wtrącił:

— Co pan chce przez to powiedzieć.

— Nie potrafię sobie wytłomaczyć świadomie popełnionej nieostrożności tego strasznego mistrza. Rozdeptał naftową lampę nogami. Czy sądzicie, że przy tem nie wiedział lub zapomniał, że pies absolutnie nie może zagubić takich śladów?

— Tak! To prawda! — przyznali obaj towarzysze młodego detektywa. — Ale co to ma znaczyć?

— Nie wiem, wydaje mi się to mocno podejrzanem. Nie wiem dlaczego.

Na chodniku następnego krzyżowania ulic, pies stanął; szukał nosem po ziemi, stał przez chwilę spokojnie, potem popędził dalej.

Coś jednak psa niepokoiło; zdawał się wąchać, wrócił nazad, pędził znowu naprzód i znowu się namyślał. Przytem szczeknął krótko.

Młody detektyw rzekł do swoich towarzyszy.

— Coś jest nie w porządku. Pies jest niespokojny. Na skrzyżowaniu ulic, coś zajść musiało. Może czarna maska próbowała ślad uczynić niepoznanym.

— Przecież była sama — rzekł Harry i zawołał do psa: — szukaj Lady!

Pies, zawsze z nosem przy ziemi, rzucił się w krzaki, w których wkrótce dało się słyszeć głośne szczekanie.

— Hallo! — zawołał Harry – pies kogoś przytrzymał.

— Mistrza Czerwonej Ręki? – zawołał Bruce i prokurator jednogłośnie.

— Zobaczymy – odpowiedział Harry i pobiegł na miejsce, skąd dochodziło szczekanie psa.

W krzakach znaleziono małego skulonego chłopca, sprzedającego zapałki.

Harry odwołał psa, który ustawicznie obwąchiwał buty chłopaka.

— Ależ Lady – zawołał z naganą — to przecież nie mistrz Czerwonej Ręki!—Skoro jednak pies od butów nie odstępował, Harry ściągnął chłopcu but z nogi i rzekł następnie do siebie z tryumfem:

— Aha! Przecież to sobie myślałem!

A zwracając się do chłopca — zapytał surowo:

— Skąd masz te buty? One nie do ciebie należą. Są na ciebie za duże.

— Ja ich jednak nie ukradłem — jąkał się chłopczyna.

— Tak, tak, to wiemy. Ale od kogo je dostałeś? Opowiedz to nam.

Chłopczyna z płaczem opowiedział, że w mieście i po tawernach sprzedawał zapałki i chciał już wracać do domu.

Wtem nagle na rogu zupełnie pustej ulicy przybiegł bez tchu prawie jakiś pan, który go zapytał, czy chciałby zarobić sztukę złota i nic więcej za to nie żądał, tylko żeby wdział jego buciki i spacerował w nich z pół godziny. To też uczynił, choć buciki były na niego duże. Skoro jednak wrócił, obcy pan już znikł; wtedy znużony

położył się w krzakach, gdzie go właśnie ten zły pies obudził.

— Jak wyglądał ten obcy pan? — spytał mr. Bruce.—Mów prawdę, stoisz przed policyą.

— Miał na sobie czarny płaszcz, czarny kapelusz i długą pełną brodę —mówił chłopiec, a strach jego zdradzał, że mówił prawdę. Podał też darowaną mu sztukę złota, usłyszawszy jednak, że może ją zatrzymać i nic mu się nie stanie, pędem pobiegł do domu.

Skoro się chłopiec ulotnił, zwrócił się Harry Takson do towarzyszy:

— Rozumiecie teraz, moi panowie, dlaczego przeciwnik podeptał nogami lampę? Ponieważ słusznie przypuszczał, że puścimy jego śladem psa. Nadał bucikom umyślnie tak ostrą woń, by na pierwszym rogu buty zamienić, a innemu kazać w nich chodzić. Pies jednak natychmiast odczuł podstęp wroga. Na miejscu, gdzie zamiana butów nastąpiła, okazał niepokój. Chłopiec w butach poszedł dalej, a mistrz pobiegł w przeciwnym kierunku w pończochach. - Zaiste, doskonale i z wielką rafineryą obmyślone.

— No, ale przynajmniej mamy rysopis tego łotra — mówił prokurator.

— Wierzy pan w tę brodę? — wtrącił szybko Harry.

Według opisu bandy maska kończyła się tuż prawie pod szczęką. Musielibyśmy w takim razie tę brodę zauważyć; nie, wierzcie mi, ta broda była fałszywa.

— Tak, więc nas podszedł? — zapytał radca i dyrektor policyi.

— Niestety tak, mistrz Czerwonej Ręki okazał się godnym przeciwnikiem! — A zwracając się do psa z komicznym gniewem, zawołał: Ale i ty Lady, i ty dałaś się w pole wywieść. Pfui!

Pies spojrzał jednak na pana mądremi oczyma, jakby chcąc pocieszyć:

— Daj spokój, jeszcze tego łajdaka złapiemy.

— Dziś w takim razie już nic nie mamy do roboty? — zapytał szef policyi.

— A nic; chodźmy spać, by zyskać siły na jutro.

Szarzało już na niebie, gdy Harry z butami pod pachą i wierną Lady przy boku wszedł do swego hotelu.

ROZDZIAŁ V.

Niemiłe spotkanie.

Pewnego cudownego dnia spotykamy piękną Olgę Chatterton i czcigodnego prokuratora mr. Athelstona, na ławce w parku miejskim, ożywioną i błyskotliwą prowadzących rozmowę.

— Proszę pana, mr. Athelston, przestań pan. Wiesz pan przecież, że nie lubię, by mnie nasycano komplementami.

— Ach, pani zapomina, że komplementy są przysmakami, które jeśli pani podaję, dziwić jej nie powinno.

— Ale takiemi przysmakami można sobie gruntownie zepsuć żołądek — zawołała, śmiejąc się, mrs. Olga.

— Prawda. Ale te komplementy i hołdy skończą się, jeśli ktoś z tych wielu, przepadających za pani pięknością, będzie miał prawo te cudne rączki nazywać swoją wyłączną własnością.

— Mr. Athelston! — zawoła Olga, zatykając ze śmiechem oboma rączkami swoje uszy. — Przecież nie chce mi się pan oświadczać, to byłoby arcykomiczne.

— Dlaczego? — zapytał prokurator trochę zirytowany — nic w tem nie widzę komicznego.

— O, nie powinien się pan tak zaraz na mnie gniewać. Nie, propozycya, dla mnie zaszczytna, wydaje mi się komiczną. Ale musi pan wiedzieć, że pański przyjaciel, mr. Artur Bruce, wyraził dziś to samo życzenie.

— I on?

— Tak. I on chciał się ze mną ożenić.

— Cóż mu pani odpowiedziała? — zapytał prokurator.

— To, co i panu odpowiedzieć muszę; nie mam do tego najmniejszej ochoty. Chcę być wolną.

— Nawet, gdyby pani kogoś kochała?

Na to pytanie odrzuciła Olga Chatterton dumnie głowę w tył:

— Nie umiem kochać!

— Tego pani mówić nie powinna.

Ale Olga przerwała natychmiast:

— Nie chcę nic więcej słyszeć. Nie wyjdę za mąż nigdy. Tak lepiej. Nietylko dla mnie. I dla pana. Wierz mi pan. Mówmy o czem innem. Ach, ależ tu jak wilk w bajce, zjawia się mr. Bruce.

Radca ucałował z galanteryą rączkę pięknej pani:

— I pani korzysta z pięknego dnia?

— Trzeba. Cóż pan przynosi nam nowego?

— Nic, coby mogło panią interesować.

— O, mnie interesuje wszystko. Przedwczoraj opowiadaniem o Czerwonej Ręce tak mnie pan nastraszył, że do dziś dnia żyję jeszcze w śmiertelnej trwodze. Par padł ofiarą Czerwonej Ręki. Nigdy nie zapomnę tego okropnego wieczoru. Panowie wiecie, jakim on dla mnie był przyjacielem. Dajcie mi panowie przynajmiej gwarancyę, że mordercy nie unikną zasłużonej kary.

— To mogę pani przyrzec z całą pewnością. Czy pani już mr. Athelston opowiadał, że morderca już w więzieniu?

— Nie! Doprawdy? Musi mi to pan szczegółowo opowiedzieć. Więc nareszcie ta straszna Czerwona Ręka stała się nieszkodliwą? Siadaj pan tu i opowiadaj.

Radca posłuchał wezwania i opowiedział szczegółowo cały przebieg ubiegłej nocy.

Skoro zakończył ostatniem intermezzo, odkryciem butów Czerwonej Ręki, zawołała Olga Chatterton:

— Ale to ogromnie interesujące. Postrach Czerwonej Ręki już znikł, ponieważ całą bandę tego herszta uwięziono.

— Tak, ale londyński detektyw chce także i mistrza tego uczynić nieszkodliwym — oświadczył Bruce.

— Wtedy dopiero zwycięstwo będzie zupełne. Według wszystkiego, czego dotychczas nieznany ten zbrodniarz dokonał, musimy się jego zarówno obawiać jak i jego ludzi.

— Czy go oni zdradzili? — zapytała Olga.

— Naturalnie! Wszyscy śpiewali, co wiedzieli, niestety jednak wiedzieli tak mało, że nic się z tem nie da zrobić. Tylko jeden, którego nazywali Bykiem, mianowicie ten, co zamordował para Cornwalii, ten nie został zdrajcą; zawsze mówił opryskliwie:

— Nie wiem o niczem.

— Tylko ten jeden?

— Tak jest! Niestety zeznania innych na nic się nie zdadzą — objaśniał Bruce.

— Ale mr. Takson ma najlepsze nadzieje? — zapytał Robert Athelston.

— Naturalnie! Jest przekonany, że Lady Florence — tak nazywa się jego pies — pokaże mu ślad zaginionego mistrza.

Olga Chatterton dorzuciła:

— Ten mistrz, to pyszny, straszliwy człowiek.

— W każdym razie człowiek z kolosalną energią — potwierdził prokurator.

— Czyś pan o tem przekonany? — zapytała Olga w zamyśleniu.

— Ależ naturalnie! — upewniał zapytany.

— Ma pan racyę. Ale jak myśli ten młody człowiek wpaść na trop tego okrutnego przeciwnika?

— Polega zupełnie na Lady Florence?

— Mr. Takson — uzupełnił Bruce — wyraził nawet przypuszczenie, że zuchwałego tego zbrodniarza poszukiwać będzie musiał w najlepszych kołach towarzyskich. Ale poco dużo mówić? Oto nadchodzi detektyw osobiście w towarzystwie Lady Florence.

Na jego skinienie uczeń Szerloka Holmesa się zbliżył. Lecz w tej samej chwili pies, warcząc, rzucił się na mrs. Chatterton, jakby chcąc ją uchwycić. Piękna pani cofnęła się ze stłumionym okrzykiem przerażenia:

— Na miłość boską, ten pies!

— Lady!

Na to wezwanie pies ustąpił i stanął za panem, nie spuszczał jednak oka z Olgi Chatterton.

Ta powitała Harrego i rzekła:

— Dużo mi już o panu dziś opowiadano, a także o Lady Florence. Czy to ona?

— Tak, łaskawa pani.

— Nie zdaje się być moim przyjacielem. Jak mi ci panowie opowiadali, poszukuje pan właśnie czarnej maski. Ponieważ ten pies tak gorliwie się na mnie rzucił, muszę być nader podejrzaną osobą. Moi panowie, strzeżcie się mnie! Wszyscy przecież wierzycie w nieomylność psa!

— Ależ pani — usprawiedliwiał się prokurator — jak można nawet w żarcie robić takie przypuszczenia?

— Samiście przecież widzieli. Nie każecie mnie natychmiast aresztować? — zapytała piękna pani wśród wybuchów śmiechu.

— Chętniebym panią zamknął, ale we własnem sercu.

— Ale pan przynajmniej, mr. Takson, pan będzie surowszym w sądzie. Lub wątpi pan może w swojego psa?

— Nie!

— A więc! Za cóż mnie pan ma?

— Za zachwycającą kobietę. Sama pani zażądała odpowiedzi. Pies to poznał, gdyż jest zazdrosny.

— Ach, więc w ten sposób wyraził swoją zazdrość?

— Tak!

Za chwilę Takson pożegnał się, usprawiedliwiając się mnóstwem zajęć i wkrótce znikł w tłumie spacerujących. Dziwną jednak wybrał drogę.

Powrócił łukiem, tak, że znalazł się w pewnem oddaleniu za ławką, na której piękna Olga Chatterton ożywiona prowadziła rozmowę z Athelstonem i Brucem.

Wszyscy troje go nie spostrzegli.

Harry pochylił się do psa, pogłaskał go i rzekł:

– Ty wiesz. Chętnie ci wierzę, ale potrzebuję dowodów. Nieprawdaż, Lady Florence? Teraz pięknie będziesz uważać.

Potem pies ułożył się na ziemi. Harry uwolnił go od smyczy.

— Dobrze uważaj!

I odszedł.

Lady Florence pozostała nie spuszczając oczu z Olgi Chatterton.

Gdy następnie piękna pani powstała z ławki, idąc z towarzyszami dalej na spacer, pies ruszył również ze swego miejsca i poszedł, jakby za nowym panem, w pewnem oddaleniu, kryjąc się ostrożnie, gdy się obróciła.

ROZDZIAŁ VI.

Nowe niespodzianki.

Harry siedział sam w hotelu i zabierał się właśnie do śniadania, gdy po zapukaniu drzwi z trzaskiem się otwarły i do pokoju jak bomba wpadł Artur Bruce; tak był wzburzony i zziajany, że łapiąc oddech, słowa przemówić nie mógł.

Młody detektyw odsunął filiżankę i powstał:

— Mr. Bruce, jakiejże okoliczności przypisać należy tak niezwykłe odwiedziny?

— Nowa — nowa — niespodzianka.

Powoli radca się uspokoił, że mógł już bez przerwy opowiedzieć:

— Uważać można prawie za niepodobieństwo, a jednak stało się. Wiesz pan, żeśmy uwięzili wszystkich członków tej strasznej bandy. Najniebezpieczniejszy z nich, Byk, morderca para Cornwalii, był uwięziony w więzieniu śledczem przy Albany Street i to, jako wyjątkowo niebezpieczny, w osobnej celi.

Przypomina pan sobie, że to jedyny drab, który mistrza swego nie zdradził. A teraz pomyśl pan sobie: Byk wyłamał się z więzienia, uciekł, znikł.

Harry zdumiał się:

— Wyłamał się! Jak mu się to mogło udać przez jedną jedyną noc?

— W każdym razie stało się to przy pomocy mistrza. Sprawa tak się miała: Dziś rano obnosił dozorca po wszystkich celach ranną zupę. Gdy otworzył numer 16, znalazł go próżny. Pierwsze jego spojrzenie padło na małe kwadratowe okno. Kraty były wyłamane. Okno wygniecione. Nie ulega wątpliwości, że więzień uciekł tędy.

— Czyż tego łotra nie zrewidowano gruntownie?

— Owszem! Ale żelazne kraty były przepiłowane od zewnątrz.

— W takim razie musiano do tego użyć piłki z najlepszej angielskiej stali.

— Tak jest. Łatwo pan zrozumie, kto go uwolnił.

— Naturalnie, mistrz!

— Tak! Ale ten tajemniczy człowiek dał się wyraźniej poznać, jak mało sobie robi z władz; pozostawił pewnego rodzaju wypowiedzenie wojny, mniej panu, jak raczej Lady Florence.

— Co pan mówi? Na czemże to wypowiedzenie polega?

— Dozorca więzienia nie umiał sobie naturalnie tego wytłumaczyć. Skoro mi jednak rzecz tę pokazał, zrozumiałem natychmiast. Zbiegły, a raczej właściwie oswobodziciel jego, pozostawił po sobie bilet wizytowy; był to kawał psiej kiełbasy, na której przypięty był znany nam bilet z Czerwoną Ręką.

Na to nie mógł detektyw wstrzymać się od śmiechu i odpowiedział:

— Nasz przyjaciel okazał tem przynajmniej, że ma humor. Ten kawał z kiełbasą niezły.

— Możesz pan sobie żartować, ale wyobraź sobie pan, straszne wzburzenie, gdy wiadomość o tem dojdzie do uszu publicznych? Ten straszny mistrz kpi sobie z władz.

Musimy sami przyznać, że wobec tego króla zbrodniarzy jesteśmy bezsilni. Jedyna nasza nadzieja w Lady Florence. Jedynie ten pies może nas zaprowadzić tam, gdzie się ci dwaj ukrywają.

— Ażeby znaleźć znowu buty — śmiał się Harry jeszcze weselej. — Czyż w tym wypadku Czerwona Ręka nie zabezpieczyła się przed pościgiem psa?

— O tem nie wiem — przyznał Bruce.

— Ale ja jestem o tem przekonany. Ten mistrz w swoim fachu sam się przecież pokonał, jak delikatnym jest węch Lady Florence. Przez pozostawienie kiełbasy dał dowód, że o niej pamiętał. Można więc przysiądz, że znowu użył jakiegoś podstępu.

— Przyznam się panu, że pomimo wszystkiego ja i prokurator wierzymy w pańskiego psa. Chodź pan z nim zaraz. A gdzież pies?

— A niema.

— Na nieba. Przecież pan psa nie odesłał jeszcze do Londynu?

— Nie! Potrzebuję go tu jeszcze bardzo.

— Gdzież więc go pan podział?

— Lady Florence pracuje.

Na tę odpowiedź dyrektor policyi zgłupiał.

— Co robi?!

— Pracuje.

— Słyszę ciągle: pracuje. Jak pan to rozumie?

— Tak, jak mówię. Pracuje. Lady Florence jest na tropie Czerwonej Ręki. Idzie śladem, aż do czasu, kiedy uzna, że należy mnie w to wkroczyć.

— Pan żartuje, to niemożebne. Pies samodzielnie nie może niczego przedsiębrać.

— To kwestya zapatrywania. W każdym razie życzeniu pańskiemu nie mogę teraz zadość uczynić, gdyż Lady Florence jeszcze nie wróciła.

— Od kiedyż jej niema?

— Wczoraj, koło południa ją wysłałem. Otrzymała polecenie.

Zdumienie Artura Bruce zwiększało się coraz bardziej.

— Polecenie? To brzmi już zupełnie jak żart. Czy pies może spełniać dane mu zlecenia?

— Naturalnie. Według pańskich doniesień zlecenie moje już zapewnie wypełnione. Musi mi pan zostawić czas do jutra. Mam nadzieję, że w tym terminie Czerwona Ręka stanie się już nieszkodliwą i zagadka mistrza w czarnej masce zostanie rozwiązaną.

Ale teraz powiedz mi pan jedną rzecz. Kto jest ta piękna dama, którą poznałem wczoraj przed południem?

— Olga Chatterton.

— Nazwisko słyszałem, ale kto ona jest?

— Bogata wdówka. Wydaje dużo pieniędzy, ma najkosztowniejsze klejnoty i jest najbardziej admirowana.

— Bierze udział we wszystkich uroczystościach.

— Tak! Widzą ją wszędzie chętnie. Ta dama, piękność, co pan sam musisz przyznać, umie znakomicie prowadzić rozmowę.

— Jak długo jest już w tem mieście?

— Od trzech lub czterech lat.

— Skąd przybyła?

— Według jej własnych opowiadań z Rosyi, gdzie poślubiła bogatego właściciela dóbr.

— Tak, tak.

Nastąpiło krótkie milczenie, poczem Harry postawił zupełnie nieumotywowane pytanie:

— Odkąd ścigacie czyny Czerwonej Ręki?

— Zdaje mi się, że już prawie od trzech lat.

— O co to jeszcze chciałem się spytać: Jaki był stosunek między piękną Olgą Chatterton, a zamordowanym?

— Możliwie najlepszy. Par Cornwalii chętnieby ją nawet zaślubił.

Wtem nagle Artur Bruce zamilkł i zapytał następnie zmienionym tonem:

— Przychodzi mi właśnie na myśl, czemu pan stawia o tę damę takie ścisłe pytania. Czy masz pan określony zamiar?

— Bynajmniej! — bronił się Harry. — Uważaj pan to za ciekawość lub za co się panu podoba. Ale proszę mi jeszcze na jedno odpowiedzieć, czy ta dama także na tym wieczorze, podczas którego para zamordowano, była obecną?

— Uważam to pytanie za nietaktowne. Wygląda nawet, jakgdyby pan tę kobietę podejrzewał.

Artur Bruce odpowiedział.

— Coby mi pan wreszcie odpowiedział, gdybym tak myślał rzeczywiście?

— To byłoby śmieszne. Już i tak arcy komicznem było, że Lady Florence tak gwałtownie się na nią rzuciła.

— Tak. Ma pan racyę. To było komiczne. Sam to widzę. Ta dama ma zapewne wielu wielbicieli?

— Faktycznie.

— Gdzież mieszka?

— Jest właścicielką willi leśnej, położonej tuż nad Yare.

— Gdzież ta willa?

— Nie może pan sobie przypomnieć, tych zarośli nad rzeką, do których prowadziło tajemne przejście z pod „Czerwonej Żaby“?

— Owszem.

— Tam musiał pan widzieć na prawo mury ogrodu, nad które wystają korony drzew.

— Przypominam sobie.

— To tył willi leśnej.

— Tak!

Artur Bruce spojrzał na Harrego pytająco:

— Pan powiedział to w szyderczym tonie.

— Myli się pan. Naprawdę nic przytem nie myślałem.

— Więc pan w dzisiejszych poszukiwaniach nam nie pomoże?

— Nie! Jutro jestem do panów dyspozycyi.

— Ale pan musisz przynajmniej wiedzieć, gdzie jest Lady Florence.

— W obecnej chwili nie mógłbym panu dać w tym względzie żadnego wyjaśnienia.

— Więc do widzenia do jutra.

Gdy Bruce opuścił pokój, Harry roześmiał się jeszcze raz.

W tym wypadku miał racyę. Jak bezpieczną się czuła Olga Chatterton w towarzystwie prokuratora i szefa policyi. Dobrze, że Lady Florence nie wrażliwa jest na piękność i na słodkie słówka nie da się złapać.

ROZDZIAŁ VII.

Lady Florence wypełnia zlecenie.

Dopiero popołudniu powróciła Lady Florence do domu. Poskrobała łapą w drzwi i Harry natychmiast jej otworzył. Nakarmił psa i dał mu się wyspać. Dopiero pod wieczór wyszedł z psem z hotelu. Poszedł do parku na to samo miejsce, gdzie go zostawił. Potem pogłaskał psa i rzekł:

— A teraz pokaż, gdzie byłaś? Allons, Lady!

Pies poleżał jeszcze chwilę; następnie wstał poszedł aż do koncertowego rondla i zawrócił na ożywioną Regentstreet. Wąchał przytem często po ziemi, jakby chcąc się upewnić, czy idzie tą samą drogą. Przed elegancką restauracyą Adlone położył się przy drzwiach i zdawał się wypoczywać.

Młody detektyw zrozumiał i rzekł do siebie:

— Tu jadła obiad i Lady musiała dosyć długo czekać!

Pies powstał znowu i pobiegł chodnikiem, ale tylko do najbliższego rogu, potem pobiegł środkiem ulicy.

Harry znalazł i na to tłomaczenie:

— Piękna Olga nie szła przecież środkiem ulicy? A więc pojechała dorożką.

Droga prowadziła przez cały szereg ulic, aż za wał miejski.

Przed elegancką willą otoczoną obszernym ogrodem i parkiem Lady Florence wróciła na chodnik.

Tu musiała śledzona opuścić powóz. Pies pobiegł następnie aż do artystycznie wykutej bramy.

Według opisu Brucego musiała to być willa leśna Olgi Chatterton.

Lady wyszukała rów i położyła się w nim na czatach, trzymając łeb między dwoma łapami z nosem przy ziemi.

Harry pogłaskał psa:

— Rozumiem cię: Tu musiałaś długo czekać. Pokaż teraz dalej, gdzie byłaś? Allons Lady!

Pies znowu powstał, wciągnął parę razy powietrze nosem, potem pobiegł wzdłuż murów aż na tę stronę, gdzie dochodziły do rzeki i stanął przy małych, w mur wpuszczonych drzwiach.

Okolica tu była cicha i pusta. Pies niezwłocznie odbiegł od drzwi i poszedł przez pola w kierunku przedmieścia Belgrave.

Harry szedł za nim.

Przez te tajemne drzwi opuściła więc willę. Chciałbym widzieć detektywa, któryby lepiej umiał śledzić. Przytem przebranie nie wpływa wcale i nie myli tropu. Jego węch sięga poza róg muru, co dla oczu jest niemożliwem. Jemu wystarczy kawał kiełbasy, a detektyw żąda podwyższenia płacy i awansu.

Lady Florence poszła ulicami przedmieścia.

Tymczasem noc oddawna już zapadła i dziwnej pary, pana i psa, nikt nie obserwował.

Na Albany Street stało stare więzienie śledcze. Patrol chodził regularnie dwadzieścia kroków tam i nazad. Pies przeszedł koło niego i skręcił w małą uliczkę, ciągnącą się wzdłuż murów więzienia.

Tam po jednej stronie był strumień i więzienny mur, a po drugiej ciche stare domy, schroniska, w których mieszkali ludzie starzy, wcześnie idący na spoczynek.

Około sto kroków zagłębiła się Lady Florence w tę uliczkę, potem z wahaniem podeszła do strumienia. Trwało to chwilę, skoczyła do wody i wypłynęła na drugi brzeg.

Po drugiej stronie ze zręcznością kota wdrapała się na mur, a na szczycie przyczaiła się tak, że jej prawie widać nie było.

— Tędy weszła Czerwona Ręka do więzienia — mówił do siebie Harry. — Szkoda, że nie

mogę iść na drugą stronę, znalazłbym ślady. W każdym razie użyto drabiny sznurowej z hakami.

Pies czekał jeszcze chwilę na swym niebezpiecznym posterunku.

— Kiedy Czerwona Ręka kładła tam kiełbasę, nie przypuszczała nawet, że prześladowca tuż za jej plecami.

Tymczasem pies nazad zeskoczył i przepłynął strumień. Nie poszedł jednak tą samą drogą, lecz znikł między domami.

Harry Takson pospieszył za nim.

— Teraz zobaczymy, czy starał się zmylić ewentualny pościg.

Szli przez wązkie uliczki. Pies ciągle naprzód. Ale co za drogę obrano? Raz pies, z nosem przy ziemi, by tropu nie zgubić, obiegł trzy razy kwadrat domów.

Harry uśmiechnął się i mruknął:

— To pierwsza była próba. Ale tem moja Lady nie da się wywieść w pole. Gdyby zaś wiedziano, że pies przez całą drogę szedł za niemi.

Pies poprowadził pana dalej. Coraz bardziej oddalano się od willi leśnej. Czyżby była inna jaka nora, w którejby Byk mógł się ukryć.

Nareszcie doszli do rzeki, która szerokim łukiem otaczała miasto. Pies pobiegł w krzaki przybrzeżne.

Gdy Harry zapalił latarkę elektryczną znalazł wbity w ziemię pal z żelaznym hakiem, służącym do przytwierdzenia łodzi.

Nim skombinował łączność, już pies był we wodzie i wskazał kierunek drogi zbiegów.

Wzdłuż brzegu szedł Harry we wskazanym przez psa kierunku.

— A więc to był podstęp Czerwonej Ręki; podstęp ten udałby się bez wątpienia, gdyż we wodzie nawet Lady Florence straciłaby wszelki wiatr.

Pies płynął ciągle w kierunku willi. Sprytnie prowadził mistrz dzieło uwolnienia swego najwierniejszego sługi. Szedł wprost w przeciwnym kierunku. Czółno dopiero, nie pozostawiające za sobą śladu, miało ich doprowadzić do właściwego celu.

Porządny jeszcze kawał drogi był do zrobienia. Harry Takson doszedł do muru ogrodowego willi, graniczącego tuż z brzegiem rzeki. Ponieważ Lady wody jeszcze nie opuściła, przelazł jej pan przez mur, chcąc jej dalej towarzyszyć.

Teraz stał Harry na obcym gruncie; czuł się bardzo wzruszonym. Ostrożnie, możliwie bez szelestu, szedł Harry naprzód. Księżyc oświecał mu drogę.

Pies skierował teraz do brzegu. Tu była mała zatoczka ukryta w krzakach. Tu musiało czółno wylądować, najstosowniejsze i najbezpieczniejsze było tu miejsce. Tuż przy tej naturalnej zatoce stała zamknięta altana ogrodowa.

Harry słusznie przypuszczał. Tu ścigani wylądowali; zakryty liśćmi mógł już rozróżnić zarysy czółna.

Młody detektyw stał na podniesionym brzegu. Lady Florence wybiegła z wody. Ale co znaczy jej dziwne zachowanie się?

Przyczaiła się, potem podniosła łeb nadsłuchując i zaszczekała.

— Czyżby to ostrzeżenie? — Przed kim?

Właśnie chciał się Harry obejrzeć, gdy wtem koło uszu usłyszał przeciągły świst i w tej samej chwili jakaś pętla owinęła mu się koło szyi, która go wstecz porwała.

Daremnie próbował za nią uchwycić, już nie mógł się od niej uwolnić. Zacisnęła mu gardło, zmysły zaczęły się mącić.

Wszystko to trwało sekundę.

Słyszał jeszcze ostry głos:

— Strzel do psa! Pies to nasz najniebezpieczniejszy wróg.

Usłyszał huk strzału, plusk wody i stracił przytomność.

ROZDZIAŁ VIII.

W największej potrzebie.

Skoro Harry powrócił do przytomności uczuł, że żadnym członkiem nie może ruszyć. Był na całym ciele skrępowany i związany jak wór.

Gdzie był? Co się stało?

Ostrożnie spojrzał z pomiędzy rzęs.

Leżał na stole; nad sobą widział sufit pokoju.

Następnie usłyszał wyraźnie, jak jeden głos zapytał:

— Czyś zupełnie pewny, żeś psa trafił?

Drugi głos odpowiedział:

— Naturalnie! Widziałem jak pies się zwinął i wpadł do wody. Zbadałem brzeg. Na kamieniach była jeszcze krew. Martwe zwłoki uniosły fale.

Głos ten poznał Harry natychmiast; więc to Byk zastrzelił Lady Florence.

Według tego, co ten mówił, była wierna Lady trupem!

To Harrego najwięcej zabolało, z wściekłością zacisnął zęby.

Chciał śmierć jej pomścić! Strasznie pomścić! Gdyby mógł być wolnym.

Wtem usłyszał pierwszy głos, który brzmiał jakby umyślnie zmieniony:

— Dobrze się stało, że się wcześniej nauczyłem używać lassa. Dobre nam dzisiaj oddało usługi.

Harry odczuwał jeszcze ciśnienie w gardle.

Uważał, że bezcelowem jest udawać dłużej nieprzytomnego; otworzył oczy. Nie mylił się.

Był w małym, nizkim pokoju z czterema gołemi ścianami. Obydwa okna zasłonięte były firankami. Wisząca lampa naftowa oświecała czerwonawo całe otoczenie. Jedna z dwu wysmukłych postaci, o lekkich ruchach, miała twarz zasłoniętą czarną maską. Więc to był mistrz Czerwonej Ręki. Drugim był Byk.

Obaj nie zauważyli, że Harry z otwartemi oczyma się dookoła rozgląda. Zamknął powieki natychmiast, by może podsłuchać jeszcze coś, coby go mogło interesować.

Byk, wskazując na leżącego bez ruchu, zapytał:

— Ale ten musi umrzeć!

Czarna maska skinęła.

— Tak! Za dużo wie! Nie będę tak długo bezpiecznym, dopóki będę wiedział, że żyje.

— Czy ma to się stać natychmiast?

Na to pytanie poczuł Harry, jak zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

Śmierć więc była już tak blizko? Czy to koniec jego zawodu?

Pomimo wszystko, miał tyle władzy nad sobą, że pozostał nieruchomym, jakby odurzenie jeszcze nie przeszło.

— Nie! — była odpowiedź mistrza.

— Dlaczego nie? — badał Byk dalej. — Sądzę, że powinniśmy skończyć już tę komedyę. Tracimy tylko niepotrzebnie czas. Wogóle nie trzeba było go tu zawłóczyć, lecz pchnąwszy nożem w serce, wrzucić do wody, niechby ze swoim psem razem popłynął.

— Nie chcę tego. Muszę przedewszystkiem różnych od niego dowiedzieć się rzeczy. Nie obudził się jeszcze?

Byk podszedł do Harrego i pchnął go pięścią w bok.

Uczeń Szerloka Holmesa nie dał znaku życia.

— Ta lniana krawatka musiała mu trochę za mocno ścisnąć gardziołek, nie rusza się jeszcze wcale.

— Możemy czekać — oświadczył mistrz.

Potem obaj zamilkli na chwilę, dopóki Byk znowu nie spytał:

— Zostaniemy w Norwich?

— Nie! Nie mamy tu nic więcej do roboty. Pojedziesz przedemną do Londynu. Znasz Londyn?

— Tak! Urodziłem się tam w Poplar.

— Dobrze! — skinął mistrz. — Na przyszły wieczór będzie dla ciebie jeszcze robota. Przyjdziesz tu o godzinie dziesiątej. Znasz umówiony znak?

— Tak, dwa razy klasnąć w dłoń.

— Dobrze! Otworzę ci sam. Usłyszysz wtedy, co dalej będzie. Pojutrze będziesz musiał jechać do Londynu. Potrzebuję conajmniej dziesięciu pewnych chłopców; między nimi takiego, któryby umiał topić stal. Warunki znasz. Za każdą wyprawę, bez względu czy się uda lub nie, po dziesięć funtów na głowę. Działacz prócz tego dwadzieścia. Możesz mi takich ludzi dostarczyć?

— Myślę, że tak.

— Nikt jednak nie może mistrza widzieć! Pod tym względem jestem nieubłagany. Pomyśl o Garbarzu. Opowiedz to wszystkim, by mnie się bali.

— Już ja to zrobię. Jeśli zaś potrzeba będzie, sam będziesz musiał tak z nimi pogadać, że kolana im drżeć będą.

— Winni też zawsze mi ufać. Czym ciebie nie uwolnił?

Byk skinął głową.

— To prawda! Nigdy ci tego nie zapomnę.

— Czy nie chciałbyś zobaczyć mej prawdziwej twarzy?

W tem pytaniu mistrza tkwiła jakby pokusa i próba.

Byk spojrzał zdumiony; ale odpowiedział obojętnie:

— Jeśli sam chcesz! Inaczej nie! Wiem, że słowa dotrzymasz i że twoje interesa są dobre. Inne rzeczy mnie nie obchodzą. Nie powiedziałeś mi jeszcze, jaką będę miał robotę jutro wieczór?

— Ten tam umrzeć musi.

Mistrz wskazał na skrępowanego młodzieńca.

— Zresztą nic?

— Może być! To się dopiero znajdzie.

Podczas tej rozmowy, z której każde słowo zrozumiał, dowiedział się Harry, że śmierć jego postanowiona na następny wieczór. Daremnie łamał sobie głowę, dlaczego natychmiast nie miał umrzeć, jakie zamiary żywi czarna maska na ten wieczór.

Ale najprzykrzejsze dla niego było to, że musiał słuchać, iż Czerwona Ręka na przyszły wieczór planuje jakieś przedsięwzięcie, jakieś nowe łajdactwo, którego on przeniknąć nie mógł.

Choćby nawet wiedział, to przecież i takby mu zapobiedz nie mógł. Był bezsilnem stworzeniem.

Mistrz przystąpił do skrępowanego, stanął tuż przed nim i skrzyżował ręce na piersiach.

— Nie chce pan mówić? Lub może obecność trzeciej osoby jest panu nieprzyjemną?

I na to żadnej odpowiedzi.

Byk zapytał:

— Czy tu w naszej obecności nie może być odkryty?

— Nie! O to ja się już staram. Będę się starał nawet dotrzymać mu towarzystwa. Zresztą pozostaje wszystko tak jak umówiliśmy.

— Dobrze, mistrzu!

Byk był już przy drzwiach; tam zwrócił się jeszcze raz do czarnej maski:

— Czy krzykiem nie zwabi żadnej pomocy?

— Czym kiedy zrobił połowę roboty? — zapytał podobnie mistrz.

— To prawda! Więc o dziesiątej!

W chwilę potem już go nie było.

Czarna maska poczekała jeszcze, aż ucichną kroki.

Wtedy mistrz wziął krzesło, postawił tuż koło związanego, usiadł i założył noga na nogę.

— No, więc jesteśmy sami. Jesteś pan usposobiony cokolwiek do pogawędki?

Ponieważ natychmiast nie odpowiedział, zaczął szyderczo:

— Uważam to za potakiwanie. Muszę panu powiedzieć komplement, żeś mnie bardzo prędko znalazł w moim prywatnym gabinecie. Choć pańska wizyta nie była dobrowolną, jest mi ona jednak bardzo przyjemną. Czyś pan nie rozczarowany?

Harry uznał, że milczenie niema celu i sytuacyi nie polepszy, owszem pogorszy, przeto odpowiedział, owszem z pewnego nawet rodzaju humorem:

— Nie! Nie jestem rozczarowany!

— Seryo! Szkoda jednak. A dlaczego? Jeśli pozwoli pan zapytać.

— Ponieważ, przedewszystkiem robi mi pan niezasłużony zaszczyt. Chciałbym panu podobnie się odsłużyć.

— Tak! No, przedewszystkiem, to się nie stanie!

— Co nie jest, jeszcze być może — odpowiedział Harry.

Czarna maska powstała:

— Nie, tej przyjemności panu nie zrobię.

— Znam tajemnicę czarnej maski. Wiem, gdzie szukać tej strasznej Czerwonej Ręki.

— Wielki to dla mnie zaszczyt. Więc jednak straszna?

— Dla innych.

— Dla pana nie?

— Nie!

— Nawet wtedy nie, gdy panu powiem, że jutro wieczór o dziesiątej godzinie umrzeć pan musisz?

— Nie.

— Więc masz pan zawsze jeszcze nadzieje?

— Naturalnie.

— W takim razie dowiodę panu, jak pan mało dla mnie niebezpieczny. Zdradzę panu moje plany! Możesz pan próbować, czy najmniejszy z moich planów uda się panu pokrzyżować. Tego jeszcze wieczoru otrzymasz pan towarzystwo. Będzie to dyrektor banku Gawin Dunbar. Potrzebuję pieniędzy! Kocham pieniądze nadewszystko! To moja jedyna namiętność. Być bogatym. Na to poluję. Dlatego Czerwona Ręka tyle pochłonęła ofiar. Dyrektor Banku Dunbar musi mi dać czek, wypłacalny w Londynie. Dunbar będzie napadnięty w powrocie do domu w Norwich. Mówię to panu, ponieważ wiem, że go pan przestrzedz nie możesz, a prócz tego, że pan wiesz, że Czerwona Ręka ma innych jeszcze pomocników, prócz tych których pod „Czerwoną Żabą“ uwięziono. Tak mało obawiam się Szerloka Holmesa i jego kreatur. Zrozumiał mnie pan?

— Zobaczymy! — rzekł Harry spokojnie.

— Tak, zobaczymy! Ale powiem panu jeszcze więcej. Przysiągłem, że kto twarz moją zobaczy, musi umrzeć, podobnie jak Garbarz. Przysięgi zawsze dotychczas dotrzymałem i dotrzymam. Tak pewny jestem, że jutro o godzinie 10 pan umrzesz, że pokazuję mu swoją twarz! Proszę!

Mistrz zdjął czarną maskę.

— Poznaje mnie pan teraz?

Pochylił się nad Harrym.

Równocześnie otworzył mu szczęki i wsunął w usta knebel, by nie mógł krzyczeć.

Potem wyprostował się.

— Żem panu dobrowolnie dał się poznać, jest to dla niego wyrokiem śmierci. Że knebel trochę niewygodny, musi pan znieść. Jeśli się panu będzie przykrzyć, może pan iść. Może pan przestrzedz dyrektora banku. Najprzyjemniej byłoby mi, byś pan tu został.

Zabrał lampę i wyszedł.

Za drzwiami powiedział jeszcze raz szyderczo:

— Do widzenia!

W ciemnym pokoju został sam Harry Takson.

ROZDZIAŁ IX.

Służący melduje nieoczekiwanego gościa.

Piękna Olga Chatterton sama witała swych gości. Najserdeczniej jednak powitała prokuratora Athelstona i Artura Bruce.

Obaj z galanteryą ucałowali rączki pięknej pani.

— Pięknie to z panów strony, że nie daliście mi kosza.

— Przeciwnie! — żartował prokurator. — Jest dla nas wielką przyjemnością być przez panią zaproszonym. Chciałbym widzieć człowieka, któryby choćby najmniejszej jej prośbie odmówił.

— Pochlebco!

Niewielkie to towarzystwo było na dzisiejszą herbatę zaproszone.

Prócz znanych nam panów, były jeszcze dwie damy i dyrektor banku Dunbar.

Wszyscy zajęli swe miejsca, a Olga Chatterton mówiła dalej:

— Nie wszyscy tak myślą, jak to mogę udowodnić. Wysłałam zaproszenie do mr. Taksona, a jednak nie przyszedł.

— Ja sam go jeszcze nie widziałem. O ile mi mr. Bruce zapewniał, miał się przed południem zgłosić, by wreszcie zagadkę Czerwonej Ręki rozwiązać. I nie przyszedł.

— Czy to prawda? — spytała piękna pani.

— Tak! Słyszała pani o senzacyjnem wyłamaniu się Byka przy pomocy Czerwonej Ręki. Pospieszyłem natychmiast do mr. Taksona i zażądałem, by z Lady Florence dopomógł w pościgu. Młody detektyw oświadczył mi jednak, że sam nie wie o miejscu pobytu psa, ponieważ wysłał go z pewnem poleceniem. Na dziś rano przyrzekł swoje przybycie. Oczekiwałem go daremnie.

Dyrektor Dunbar zapytał powątpiewająco:

— Czy uważa pan za możliwe, by pies spełniał samodzielnie polecenia?

Bruce wzruszył ramionami.

— Nie wiem. W każdym razie ta Lady Florence, to cudowny pies.

Prokurator gorliwie potwierdził:

— Z pewnością. Taki pies jest postrachem zbrodniarzy. Nawrócił mnie. Nigdy przedtem nie wierzyłem w czyny takiego psa policyjnego.

Olga Chatterton się rozśmiała:

— A przypomina pan sobie przedwczoraj? Ten cenny pies omało na mnie nie napadł. Według tego musiałabym być straszną zbrodniarką.

— Przecież słyszała pani tłomaczenie mr. Taksona.

— Więc powinnam być może dumną, że mnie pies zaatakował?

— Właściwie tak.

— A może mr. Takson dlatego nie przyszedł, że sam padł ofiarą Czerwonej ręki? — wtrąciła jedna z pań.

— Prawdę powiedziawszy, sam o tem myślałem. Bardzoby źle było. Ale dla pewnych względów jest to niemożliwe.

— Dlaczego?

— Właściwie nie powinienem mówić, ale tu są sami swoi. Jesteśmy na tropie mistrza Czerwonej Ręki. Podejrzany jest właśnie pod nadzorem.

Przypadek widać zdarzył, że imbryk, z którego pani Olga rozlewała herbatę, silnie zadzwonił o filiżanki.

— Co pan w tej chwili mówił? — spytała, jakby nie wierząc dopiero co słyszanym słowom.

— Tak jest, łaskawa pani. Czerwona Ręka jest pod ścisłym nadzorem policyjnym. Mogę nawet zapewnić, że uwięzienie jego nastąpi w przeciągu następnych 24 godzin.

— Więc wszyscy odetchniemy — rzekła Olga Chatterton — czy można zapytać, kto jest Czerwoną Ręką?

— Nie pani! Nie mogę.

— Więc może pan, mr. Athelston mi to zdradzi?

Ten po krótkim oporze, rzekł:

— Mr. Bruce ma racyę. Powinno to zostać tajemnicą, ale ponieważ nikt tu z nas nie zdradzi, mogę zrobić krótką wzmiankę. Kradzież 10.000 funtów przy zamordowaniu para, naprowadziła nas na ślad. Ponieważ nikt o tych pieniądzach nie wiedział prócz mr. Dunbara, więc — —

Tu piękna pani przerwała ze śmiechem:

— Więc według logiki Czerwoną ręką musi być mr. Gawin Dunbary!

Wymieniony z komiczną miną wyciągnął ręce przed siebie, jak do obrony.

— Podejrzeniem tem robi pani wielką krzywdę mr. Dunbarowi — mówił dalej prokurator. — Równie dobrze mogłaby pani nią być. A takiego przypuszczenia nawet w żarcie nie powinnoby się wygłaszać.

— A jednak pies policyjny wcale groźnie mnie zaatakował.

— Pani zawsze wraca do tej śmiesznej sceny. Ale wracając do rzeczy, o podjęciu tej sumy, prócz mr. Dunbara, tylko prywatny sekretarz mógł jeszcze wiedzieć. Przypuszczać należy tembardziej, że ten zawsze z nim wszelkie pieniężne sprawy i interesa. Ale ten pan przeczył z całą stanowczością. To musi być bardzo podejrzanem.

— Więc prywatny sekretarz zmarłego.

Wszyscy odetchnęli prawie z ulgą.

Olga Chatterton rzekła zaś do prokuratora:

— Winszuję panu z całego serca tego rezultatu. Miejmy nadzieję, że wkrótce usłyszymy o uwięzieniu tego nędznika. Szczególniej cieszy mnie, żeście tego londyńczyka wyprzedzili i pokazali, że i w naszem mieście są ludzie dzielni. Nieprawdaż?

— Naturalnie!

Wszyscy potakiwali, a Ahelston skłonił się zadowolony. Wtem wszedł stary sługa i zameldował:

— Ktoś życzy sobie być wpuszczonym.

— Teraz?

— Tak, ten ktoś jest zaproszonym.

— Przecież nie mr. Takson?

Twarz pięknej pani trochę zbladła.

— Nie, wymienia nazwisko jakiejś damy.

— Ktoby to mógł być?

Wszyscy spojrzeli pytająco na służącego.

Ten rzekł:

— Powiedziano Lady Florence. Dziwiłem się bardzo, ponieważ widziałem jakiegoś pana, a nie damę.

— Ależ to pies!

I nim zdążyła Olga Chatterton coś odpowiedzieć, odsunięto na bok portyerę. — —

ROZDZIAŁ X.

Uratowany.

Harry Takson ciężkie przeżył chwile.

Drzwi za mistrzem się zamknęły. Kroki przebrzmiały.

Nastała śmiertelna cisza w pokoju.

Każda minta dla skrępowanego wydawała się wiecznością. Daremnie silił się wypchnąć językiem knebel, by zawołać o pomoc. Daremnie usiłował ruszyć się z miejsca. Był tak silnie przywiązany do stołu, że ani o centymetr posunąć się nie mógł.

Młody detektyw każdą możliwość przestudyował w myśli. Ratunku jednak nie znalazł.

Lady Florence była zabitą.

Sam sobie przypomniał, że słyszał strzał a potem plusk wody. Byk mówił, że widział na kamieniach krwawe plamy. Więc Lady Florence była zgubiona.

W niej tylko mógł pokładać nadzieję, wiedział, że piesby go nie odstąpił.

Tymczasem musiał tu leżeć bezbronny, bezsilny, minuta upływała za minutą, godzina za godziną; a on nękany był tą straszną katuszą, że każda sekunda, każda chwila zbliża go do pewnej śmierci. Mistrz Czerwonej Ręki nie znał żartu. Czuł, jak zimny pot skrapia mu czoło.

Zmysły się mąciły, czuł, że zemdleje.

Wtem doszedł do jego uszu dziwny szmer. Słuchał z natężeniem wszystkich zmysłów.

Usłyszał krótkie szczeknięcie psa.

To był głos Lady Florence.

Więc pies był w pobliżu, więc nie zabity, nie zastrzelony.

Może tylko draśnięty i skoczył do wody instynktownie, odczuwając niebezpieczeństwo.

Tak być musiało, gdyż Harry głos swego psa rozróżniłby wśród tysiąca innych.

Więc pies szukał swego pana. Ta niepewność ratunku była dla leżącego bez ruchu, prawie nie do wytrzymania męczarnią.

Gdyby mógł na psa zawołać.

Ale i tak wejśćby tu nie mógł, drzwi zamknięte.

Harry znał roztropność Lady, ale gdyby nawet pies pobiegł i podpadającem nawet pod uwagę zachowaniem się, chciał sprowadzić pomoc, mogłoby może być już za późno.

Przez chwilę nie słyszał nic. Potem zdawało mu się, że słyszy tarcie o drzwi.

Pies szukał go; chciał przyjść do niego. Lady Florence odczuje jednak, że on nie może do niej pospieszyć.

Cóż teraz pocznie?

Nadzieja, która za pierwszem szczeknięciem psa wzmocniła się bardzo, teraz znikła zupełnie. Nawet blizkość psa koło domu, czy chaty, w której był zamknięty, nię mogła być dla niego ratunkiem.

Harry Takson zamknął oczy, lecz natychmiast je otworzył.

Przestraszył go dźwięk.

Szyby pękły i z dźwiękiem spadły na podłogę.

Lady Florence, która drzwiami wejść nie mogła, skoczyła w okno. Jednym skokiem znalazła się na stole. Harry poczuł jej sierść na twarzy.

Ale, czy obecność tego wiernego psiska jest dla niego ratunkiem?

Zimny nos Lady przesunął się po jego twarzy, całej postaci i wrócił do twarzy nazad. Pies odczuł nieruchomość jego postaci, nie słyszał przedewszystkiem głosu pana, któryby go w każdym innym razie za to przybycie pochwalił.

Pies szukał ust Harrego.

Czy zrozumiał, że ten kłębek szmat, wystający z ust jest przeszkodą? Lub może to tylko instynkt Lady Florence?

W każdym razie ostre zęby psa chwyciły za knebel i wyrwały go z ust pana.

Harry odzyskał przynajmniej mowę.

Pierwsze jego słowa były pochwałą dla psa:

— Dobry piesek, dobry! Dzielna Lady!

Pies polizał twarz pana.

Ale Harry nie był jeszcze wolnym. Leżał ciągle skrępowany na stole. Wołać o pomoc i ratunek nie mógł, krzykiem sprowadziłby mógł wrogów.

Jedno tylko jeszcze: Jeśli go Lady zrozumie! Harry spróbował wytłomaczyć psu swoją wolę.

— Tu Lady! Gryź!

I starał się choć cokolwiek poruszyć skrępowanemi rękami.

Lady Florence zrozumiała i teraz.

Jej ostre zęby zatopiły się w rzemienie. Harry mógł po chwili poruszać rękami. Po kilku minutach rzemienie były przegryzione. Mając ręce wolne sam reszty dokonał.

Gdy nareszcie ze stołu zeskoczył i wolny od niebezpieczeństwa, stanął na drżących pod nim nogach, uścisnął przedewszystkiem serdecznie psa, któremu był winien ratunek.

Troskliwie go zbadał, czy nie ma jakiej niebezpiecznej rany, otrzymanej podczas ostatniej przygody.

Na uchu psa znalazł krwią zaklejoną bliznę.

— Tu musiał go strzał Byka dosięgnąć. Krew potem pociekła na kamienie.

Kawałki szyby, którą sobą wygniótł, pocięły w kilku miejscach skórę, ale pies do tego był już przyzwyczajony, nie jedną już miał bliznę na sobie.

Niebezpieczeństwo zwierzęciu nie groziło.

— Był uratowany.

Widział twarz mistrza, znał zagadkę Czerwonej ręki, ale nie miał na to dowodów.

Będąc już bezpiecznym pomyślał o nowem przedsięwzięciu, zapominając o grożących mu znowu niebezpieczeństwach.

Bez wielkiego trudu udało mu się drzwi wysadzić i wydostać na wolność. Przytem rozpoznał, że był zamknięty w tej samej altanie nad rzeką, którą przed uwięzieniem swojem spostrzegł.

W towarzystwie psa przeciskał się przez ciemne dróżki ogrodowe, unikając przy tem najmniejszego szelestu.

Musiał zwycięstwo, wolność pozyskaną dzięki Lady Florence, wyzyskać zupełnie.

Wkrótce pomiędzy drzewami zarysowały się kontury dużego domu.

Uważnie przebiegł okiem wszystkie okna.

Wszedzie ciemność i grobowa cisza nocy.

Tylko jedno okno na pierwszem piętrze było jasno oświetlone.

Gdyby Harry mógł do niego zajrzeć!!

Co się tam może dziać jeszcze w tym pokoju?

Według obliczeń Harrego mogła być druga godzina po północy.

Stał namyślając się, potem zdawał się powziąć szybkie, a szalone przedsięwzięcie. Skinął na psa, który na dany znak położył się na ziemi i leżał bez ruchu.

Młody detektyw ze zręcznością kota, bez najmniejszego szmeru wdrapał się po drucie piorunochronu. Po wązkiej listwie wystającego muru, na

której nogę zaledwie można było postawić, sunął się Harry od jednego okna do drugiego, aż doszedł nareszcie do oświetlonego. Tam na szerokiem obramowaniu znalazł silną podporę.

Przycisnął twarz do szyby i patrzył do środka.

Nie drgnął nawet.

Pozostał w tem dziwnem położeniu tak długo, dopóki światło nie zgasło.

Potem dopiero powrócił tą samą niebezpieczną drogą.

Niepostrzeżenie prześlizgnął się przez ogród i wrócił z psem do hotelu.

W mieszkaniu znalazł zaproszenie, podpisane przez Olgę Chatterton.

Przeczytał je pobieżnie, skinął głową, zwrócił się do psa, obserwującego bystro każde jego poruszenie.

— Prawda, Lady Florence, przyjdziemy. Nie zapomnimy godziny.

ROZDZIAŁ XI.

Rozwiązanie zagadki.

Portyerę odsłonięto. Wszedł Harry, a przy jego boku wierna Lady Florence.

Przybycie to różnorodne wywołało wrażenie. Obie damy i dyrektor banku Gawin Dunbar okazali zdumienie i spojrzeli pytająco.

Prokurator i Artur Bruce byli omal zagniewani, że Harry wbrew wszelkim regułom wszedł z psem do tak zachwycająco urządzonego salonu.

Olga Chatterton zbladła jak śmierć; nawet wargi przybrały kolor gipsu.

Młody detektyw rzekł z umyślnym naciskiem: Znalazłem w hotelu pani zaproszenie, dla bardzo zrozumiałych powodów, nie mogłem tak miłemu zaproszeniu odmówić.

Nikt mu nie odpowiedział.

Powoli wszedł Harry dalej do pokoju i zwró[illegible]ł się do mr. Brucego:

— Prócz tego przyrzekłem panu, że wyjaśnię [illegible]dkę Czerwonej Ręki. Zwykłem słowa dotrzy[illegible]ać. Mam trochę więcej szczęścia, niż inni. [illegible] sobie przypominam, mistrz Czerwonej Ręki [illegible]gł, że musi umrzeć każdy, kto pod maską [illegible]iwą twarz jego zobaczy. To było mi też [illegible]aczone. Nieprawdaż, mrs. Olga Chatterton?

[illegible]zystkich oczy zwróciły się na zagadniętą.

W tej chwili nie była to już ta piękna kobieta.

Twarz jej wyrażała najwyższą wściekłość.

W oczach błyskały czerwone płomienie. Zęby przygryzły usta tak silnie, że aż krew ściekała z nich wielkiemi kroplami.

— Co to znaczy?

Prawdy nikt jeszcze nie rozumiał.

Athelston zwrócił do Harrego zapytanie:

— Co pan chce przez to powiedzieć? Mów pan wyraźniej!

— Sądzę, że twarz pięknej pani mówi dosyć wyraźnie — była jedyna odpowiedź.

Olga Chatterton roześmiała się złowrogo.

— No, jakże mr. Athelston i mr. Bruce? Chcecie mnie jeszcze poślubić?

Przegrałam partyę przez tego psa! Przez psa zwyciężona! Ale pomimo to! Mr. Takson, miej się pan na baczności! Dotrzymam słowa!

I szybciej, nim kto mógł dostrzedz, wyjęła z sukni rewolwer i strzeliła do Harrego.

Błysnął strzał.

Lecz w rozdrażnieniu ręka straciła swoją pewność.

Kula przebiegła koło młodego detektywa i wybiła dziurę w ciężkiej portyerze, zamykającej pokój.

Na ten strzał zerwała się Lady Florence i skoczyła przez stół.

Lecz w tej samej chwili skierowała Olga Chatterton lufę rewolweru do swojej skroni i w chwili, gdy pies na nią się rzucił, huknął drugi strzał.

Bez jęku runęła piękna pani na ziemię. Z małej rany na białej skroni płynęła strumieniem purpurowa krew.

Nawet gdy trup samobójczyni leżał rozciągnięty na dywanie, pomimo, że sama winę swoją potwierdziła, pytali jeszcze obecni, potrząsając głowami.

— Czyżby to naprawdę być mogło?

— Czy to nie przykry sen?

Harry Takson oświadczył jednak spokojnym głosem:

— Tak było! Jeśli państwo pójdziecie ze mną, pokażę wam dowody.

Poszedł naprzód i zaprowadził przerażonych gości do sypialni Olgi Chatterton.

— Stąd przedsiębrała swe straszne wyprawy; tu jest kryjówka czarnej maski i tu kryjówka jej łupów.

Ze zdumieniem patrzyli wszyscy do okoła.

Nic nie było widać podejrzanego.

— Musisz się pan mylić, mr. Takson.

— Nie widzę niczego.

Takie dawano odpowiedzi.

Tylko pomocnik Szerloka Holmesa, który pamiętał o tej nocnej godzinie, w której przylepiony do muru, tu spoglądał, śmiał się. Potem podszedł do szafy ściennej, pocisnął z tyłu umieszczoną korbę i szafa bez szelestu, jak na kółkach, usunęła się na prawo.

Za szafą wystąpił otwór z tajemnemi drzwiami, które prowadziły na kryte między ścianami schody.

Harry je wskazał.

– Tędy, gdy pozornie udawała się na spoczynek, wychodziła z willi. Nikt nie mógł tego przypuszczać.

Skoro przejście dokładnie przeszukano, znalazł Burce i ubranie strasznego mistrza, maskę, wielki kapelusz i liczne fałszywe brody.

Tem jednem Harry się nie zadowolił; nacisnął kanty dwóch obrazów, które wtył się odsunęły. Za obrazami ukazała się wmurowana szafa.

W niej znaleziono mnóstwo biżuteryi, dyamentów, pereł i innych kosztowności.

Znaleziono i poznano najrozmaitsze przedmioty, pochodzące z kradzieży i morderstw.

W drugiej tajemnej skrytce znaleziono gotówkę, banknoty, czeki i złoto. Gawin Dunbar poznał natychmiast paczkę 10.000 funtów, którą wręczył zamordowanemi parowi Cornwalii.

Pieniądze tam złożone wynosiły conajmniej ośmdziesiąt do stu tysięcy funtów.

Młody detektyw rzekł:

— Ta straszliwa kobieta, geniusz swojego rodzaju, posiadała niczem nienasyconą namiętność złota i klejnotów.

Artur Bruce odpowiedział:

— Niewyjaśnionem jednak jest jeszcze, jak właśnie dowiedziała się o tych 10.000 funtów para Cornwalii.

Ale i ten fakt nie miał pozostać bez wyjaśnienia.

Była jeszcza paczka biletów z narysowaną na nich Czerwoną Rękę. Przy niej leżał list, podpisany przez para Cornwalii. Dosłowne jego brzmienie następujące:

Wielce szanowna Pani!

Pieniądze leżą w kopercie na mojem biurku, jeśli pani raczy dziś wieczór do mnie przybyć. Cofnę się do mego pokoju i tam poczekam. Za łańcuch pereł sumę tę pani wręczę. Naturalnie cała ta sprawa osłonięta będzie najściślejszą tajemnicą.

Jej P. C.

Gdy to odczytano, rzekł Athelston:

— No i tajemnica wyjaśniona. Par czekał daremnie, gdyż Olga nie przyszła, tylko jej oddany morderca.

— Tak jest! Wolała 10.000 bez wręczenia za nie pereł.

— Dlaczego jednak odrzucała wszystkie propozycye małżeńskie? — zapytał prokurator. — Jak żona para Cornwalii byłaby dostatecznie bogatą.

Harry tylko się uśmiechnął.

— Ponieważ żoną jego zostać nie mogła. Nazwisko Chatterton jest z pewnością fałszywe, a przy ślubie padłoby światło na przeszłość — —

Przypuszczenia Harrego okazały się potem słuszne.

Papiery Olgi Chatterton okazały się fałszywe.

Zagadka Czerwonej ręki wyjaśniła się przez Lady Florence.

Tego samego wieczoru, którego zabrano ciało Olgi Chatterton, policya dużo jeszcze miała do roboty.

Harry nie zapomniał groźby przeciwko Gawinowi Dunbarowi, gdy jego powóz wracał wieczorem do domu, siedziało w nim trzech silnych policyantów.

Gdy następnie na polu dwóch drabów wstrzymało konie, byli oni niespodziewanym oporem tak przerażeni, że ujęcie ich nie przedstawiało żadnych trudności.

Także Byk był nie mniej przerażony, gdy po umówionym znaku zamiast mistrza, przyjęli go policyanci; zapomniał zupełnie o obronie. Następnie sąd skazał go na śmierć.

Szerlok Holmes był z rezultatu pracy swojego ucznia i Lady Florence bardzo zadowolony.

KONIEC.